

Spółeczne oblicze architektury

Architekt jest nie tylko inżynierem gmachów i ulic, lecz również inżynierem dusz ludzkich. Ma on możliwość oddziaływania na masy ludzkie wszędzie i zawsze — jego zadania są więc szersze niż literata czy muzyka. Musi on w swych dziełach, w kubekach brylowych, w rytmach utworów, podziałów, w dynamice form, w plastyce płaszczyzn wyrazić idee współczesności — nie idee piękna konstrukcji czy wyrażenia elegancji form, lecz społeczne idee, w imię których żyją i pracują masy ludzkie.

Z książki „O Polską Architekturę Socjalistyczną”.

Wielki przełom dokonany w naszym życiu społecznym, gospodarczym i politycznym, znalazł swój wyraz również w zagadnieniach urbanistyki i architektury.

Proces przekształcania miasta kapitalistycznego w miasto socjalistyczne wyraża się w nowym ukształtowaniu, obejmującym miasto pod kątem społecznego stosunku do urbanistyki, u której podstaw leży troska o człowieka. Wyraża się ona w dążeniu do likwidacji różnic między bogatym, dobrze wyposażonym śródmieściem a nędznym przedmieściem i dążeniem do zapewnienia higieny, dobrej komunikacji i estetyki architektury. Przy projektowaniu miasta, w rozwiązywaniu arterii komunikacyjnych, bulwarów, parków, placów, należy pamiętać, iż wypełni je lud roboczy.

Tak, jak w urbanistyce, tak i w architekturze jesteśmy świadkami kształtowania się nowego oblicza, jesteśmy świadkami tworzenia się polskiej architektury: narodowej w formie, socjalistycznej w treści. Przedmiotem opiewanym przez nową architekturę jest człowiek, a nie technika. Nie konstruujemy apoteozowania techniki, lecz zastosowanie jej dla zaspokojenia materialnych i duchowych potrzeb człowieka.

Narodowa w formie architektura musi oprzeć się na fundamencie dorobku historycznej architektury polskiej. Socjalistyczna w treści — musi stanowić wierne odbicie społecznej rzeczywistości.

By wyrazić treść społeczno-materialną i wykonać swą odpowiedzialną rolę wychowawczą musi architektura, współdziałając z rzeźbą i malarstwem, operować formami prostymi, przystępnymi i zrozumiałymi dla mas. Architektura po wojnie, stanęła wobec nie spotykanych w naszej historii zadań, których realizacja możliwa jest jedynie w ramach planowanej gospodarki, drogą zespołowych form pracy.

Mając na uwadze stałe ulepszenie form pracy i podnoszenie projektów, Centralny Zarząd Biur Projektowych Budownictwa Miejskiego, przy współpracy terenowych oddziałów Stowarzyszenia Architektów R. P., urządza regionalne pokazy architektury, stanowiące i eliminację przed ogólnopolską Wystawą Architektury i Urbanistyki.

W Poznaniu, w Pawilonie Min. Kultury i Sztuki, na terenie Parku Targowego otwarto Regionalny Pokaz Architektury województw:

dolnośląskiego, łódzkiego, zielonogórskiego, poznańskiego. Pokaz zaznajamia nas z pracami 16 biur, obejmując projekty budownictwa przemysłowego, wiejskiego i miejskiego, oraz komunalnego.

Wystawa urządzona pod hasłem „Zbliżamy architekturę do najszerszych rzesz społeczeństwa” ma na celu zacieśnienie współpracy architekta, wykonawcy i użytkownika; wprowadza ona zwiedzającego w za-

gadnienia urbanistyki i architektury, obrazując ścisły między nimi związek. Skomplikowany proces kształtowania oblicza dzielnicy, sieci komunikacyjnej, wnętrza placu, ustalenia charakteru zabudowy na podstawie posiadanej dokumentacji mamy możliwość zaobserwować na przykładzie 3 rozwiązań placu Wielkopolskiego w Poznaniu. Jako temat bardzo aktualny ze względu na odbudowę i niewątpliwie dla nas bliski pragnę go znów poruszyć (bo już na łamach „Głosu Wielkopolskiego” o nim wspominałem) z myślą, iż zainteresuje czytelników i wywoła oddźwięk w formie wypowiedzi w ramach narady dyskusyjnej społeczeństwa.

Dwa rozwiązania placu Wielkopolskiego przedstawiają myśl zachowania dawnego zarysu, trzecie rozwiązanie jest propozycją zupełnie nowego ukształtowania.

Inż. arch. Słoiński w projekcie swym potraktował plac Wielkopolski z projektowanym osiedlem mieszkaniowym przy ul. św. Wojciecha i ul. Działowej jako całość. Jest to plac o charakterze warszawskiego Mariensztatu, ośrodek współżycia zbiorowego tej dzielnicy, jedna z „sal miasta” pod gołym niebem, gdzie ludność zbiera się w najrozmaitszych momentach życia zbiorowego. Architektura placu w nawiązaniu ścisłym do architektury sąsiedniego Starego Miasta — a więc 4 kondygnacje, dach stromy — kryty dachówką. W części północnej placu wytworzono kilkustopniowe wzniesienie, rodzaj tarasu dla ewentualnych imprez artystycznych. Jedną z myśli przewodnich, było wytworzenie partii widokowych na zamek Przemysławski oraz na kościół św. Józefa na wzgórzu św. Wojciecha. W projekcie mocno jest uwzględniony moment zieleni, który swym pasem rozciąga się wokół zamku Przemysławskiego oraz wzdłuż murów obronnych. Nieprzerwane przejście zielone ze wzgórza Przemysławskiego, prowadzi poprzez plac pasami zie-

leni i drzew aż na wzgórze św. Wojciecha.

Myślą przewodnią drugiego projektu, którego autorami są prof. inż. arch. Cieśliński i inż. arch. Halm, było uzyskanie monumentalnego wnętrza placu w architekturze nowoczesnej. Celem uzyskania optymalnych proporcji placu, zmniejszono jego zbytnią długość przez zaprojektowanie budynku Centralnego Biura Wystaw Artystycznych (Zachęta), który oddzieli plac od strony północnej od ulicy Bałbińskiego, która stanie się arterią komunikacyjną o dużym nasileniu. Taras przed gmachem Zachęty, stanowiłby jednocześ-

nie rodzaj podium dla różnych imprez zbiorowych. Z tarasu w kierunku południowym rozciąga się widok na zamek Przemysławski. Ścianę południową placu stanowiłby niski parterowy budynek nie konkurujący z architekturą zamku Przemysławskiego. W budynku tym mogłoby znaleźć miejsce klub wszystkich związków artystycznych. Architektura całości placu monumentalna, nowoczesna; zabudowa 5 kondygnacji, dachy płaskie.

Projekt rekonstrukcji zamku przyjęty w obu projektach opracowany został przez inż. arch. Rychlickiego przy współ-

pracy urzędu konserwatorskiego.

Projekt prof. inż. arch. Kaplińskiego jest zupełnie różny od poprzednich. Autor wykorzystuje istniejący stan zniszczeń na odcinku między Al. Marcinkowskiego, placem Wielkopolskim a ulicą Pocztową, by usytuować plac przy arterii P—P (Al. Marcinkowskiego) w ten sposób, by przejeżdżający mógł uchwycić partię widokową Starego Miasta z wieżą Ratusza oraz częściowo zamek Przemysławski na wzgórzu.

Zamek widoczny na makiacie (różny od poprzednich) wykonano według koncepcji prof. inż. arch. Zielińskiego w oparciu o najstarsze źródła historyczne.

Projekty urbanistyczne rozwiązania placu Wolności w Łodzi (inż. arch. Korsey) ilustrują również docieklawą pracę urbanisty i architekta w oparciu o szereg studiów. Interesująca makieta placu Grunwaldzkiego we Wrocławiu (inż. arch. Jessem Michał) niestety z powodu braku planu stanu istniejącego nie daje nam pełnej możliwości zorientowania się w słuszności koncepcji.

Przechodząc do zagadnień budownictwa przemysłowego warto nadmienić, iż wobec olbrzymiej roli, jaką ma przemysł odegrać w naszym życiu, zagadnienie to nabiera pierwszorzędnej wagi. Jego budowie stanowić będą o wyrazie naszego krajobrazu, o sylwecie miasta. Stąd specjalnie dużo uwagi przywiązuje się do rozwiązania sytuacji zakładów przemysłowych, ściśle w myśl założeń urbanistycznych. Będą to, jak widzimy na projektach, nie przypadkowe zlepkę, lecz świadoma koncepcja architektoniczna, mająca za cel opiekę nad człowiekiem, czy to w miejscu pracy, czy w urządzeniach socjalnych.

Udane projekty budownictwa przemysłowego przedstawił nam zespół wrocławski, o których opinia kolegium mówi: „Ośrodek Wrocławski cechują pozytywne osiągnięcia w kształto-

waniu nowej formy współczesnego budownictwa przemysłowego. Znamienne jest wykorzystanie materiału rodzimego pochodzenia. Mimo problematyki związanej z rozwiązaniem dużych obiektów, szczęśliwie uniknięto maszynistycznych i konstruktivistycznych rysów architektury. W projektach przejawia się dbałość o należyte proporcje i podział architektoniczny. Detal architektoniczny utrzymany w skali człowieka”.

Wśród projektów budynków użyteczności publicznej na szczególną uwagę zasługują:

Projekt Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi (inż. arch. Budlewski i Orlik), której ogólny obraz jest zgodny z treścią wewnętrzną.

Projekt Politechniki Wrocławskiej przedstawia trudne zadanie powiązania wnętrza o różnych przeznaczeniach i wielkościach. Autorem (prof. inż. arch. Brzoza i inż. arch. Kupiec) udało się opanować te trudności, uzyskując właściwe nawiązanie do układu klasycznego. Całość architektury odzwierciedla treść wewnętrzną.

Projekt Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu (prof. inż. arch. Pogórski) jest poważnym osiągnięciem, którego realizacja stanowiłaby szczęśliwy początek dla zabudowy prawego brzegu Warty. Obok ciekawego rozwiązania sytuacji całego zespołu budynków, widzimy projekt Gmachu Wydziału Architektury i Ładowo-Wodnego, którego spokojna architektura dobrze przywiązuje się do wnętrza.

Detale przedszkoli w Zbiersku i Poznaniu, których autorami są inż. arch. Londźon, Pawulanka, Wellenger, są dowodem na realizację (wprawdzie na małym odcinku) „współpracy architekta z rzeźbiarzem” (art. rzeźbiarz Gdeczyk). Chcielibyśmy na przyszłych pokazach mieć okazję częstszego oglądania takiej współpracy.

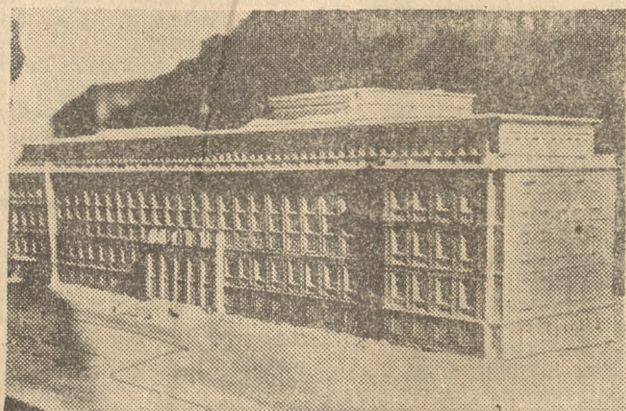
Zupełnie odrębny dział stanowi architektura wiejska, która zapoznaje nas z potrzebami szybko rozwijających się PGR-ów. Projekty domów mieszkalnych, chlewni, żrebięciarni, owczarni i szpitali koni są wyrazem poszukiwań architektonicznych dla zupełnie nowych założeń. Ciekawe projekty pracowni konserwacji zabytków w Poznaniu i Wrocławiu, przedstawiają studia elewacji Ratusza w Poznaniu (projekt według przekazów historycznych) oraz projekt elewacji Starego Wrocławia.

W ramach odbudowy zabytków m. Poznania, inż. arch. Czarnecka opracowała projekt odbudowy biblioteki Raczyskich uzupełniony szeregiem detali, dając nam pełny obraz tego gmachu, który znów zostanie przywrócony do życia. Na uwagę zasługuje projekt dalszej rozbudowy biblioteki od strony Al. Marcinkowskiego.

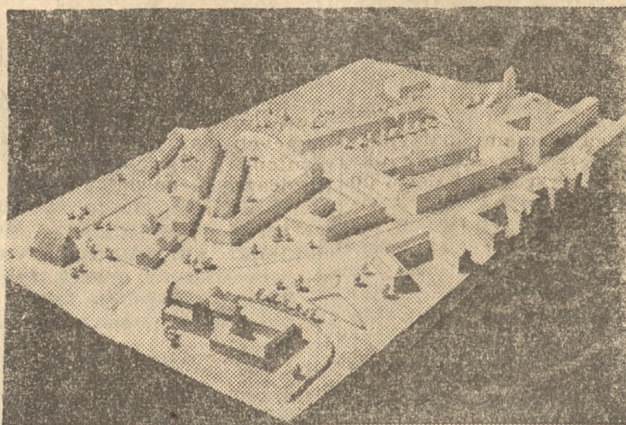
Z braku miejsca trudno jest omówić wszystkie zebrane na wystawie prace. Na marginesie wystawy należy podkreślić, iż jest ona sprawdzianem stale wzrastającego poziomu realizacji zadań budowlanych planu 6-letniego, opracowanych przez biura projektowe na terenie województw.

W zrozumieniu znaczenia krytyki społecznej Stowarzyszenie Architektów R. P. wezwało wszystkich miłośników architektury do wzięcia żywego udziału w dyskusji nad pracami Regionalnego Pokazu Architektury, która odbędzie się w dniu 29 bm. o godz. 17 w sali Wystawy w Pawilonie Min. Kultury i Sztuki na terenie Parku Targowego, dyskusji, mogącej przynieść projektom wiele ciekawych uwag, które stać się mogą cennym wkładem przy opracowywaniu nowych projektów.

I. W.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA — ŁÓDŹ
inż. inż. arch. Budlewski i Orlik



WIDOK NA ZAMEK PRZEMYSŁAWA
makieta projektu inż. arch. Słoińskiego

„Tysiąc walecznych” zwyciężył

(Korespondencja własna „Głosu” z Warszawy)

Uroczystością rozdania nagród zakończył się zorganizowany przez Centralną Radę Związków Zawodowych świetlicowy Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych. 1200 zespołów, zrzeszających 25 000 aktorów-amatorów dało 20 000 przedstawień, oglądanych przez 5 milionów widzów.

Cyfry te, jakkolwiek imponujące, nie decydują jednak o znaczeniu festiwalu. Nie jest również kwestią zasadniczej wagi, czy wykonanie poszczególnych sztuk zawsze było na należytych poziomach artystycznym i odpowiadało intencjom autora lub czy reżyserzy i dekoratorzy zawsze zwycięsko wywiązali się ze swych zadań. Znaczenie festiwalu polega przede wszystkim na tym, że pokazał on, jak ogromne masy ludzi pracy porwały za sobą nurt upowszechnienia kultury w naszym kraju, jak głęboko te masy, o których sanacyjni pułkownicy mówili, że nie potrzebują niczego innego „jak kieliszka wódki i barłogu do spania” — spragnione są artystycznych przeżyć i jak żywiołowo garną się do wrót skarbnicy kultury, które otwiera przed nimi Polska Ludowa. Festiwal był więc nie tylko imprezą kulturalną — stał się on również wydarzeniem o noteżnej wymowie politycznej i społecznej.

A jakie sztuki pokazano nam na festiwalu? Oczywiście żadnej „tradycyjnej” szmery, naszpikowanej pseudo ludowością i ciekawym sentymentalizmem. Zobaczyliśmy natomiast wiele sztuk o tematyce współczesnej, związanej z naszą obecną rzeczywistością z naszą walką i pracą, z sukcesami i trudnościami naszego socjalistycznego budownictwa. Do takich właśnie sztuk należy „Tysiąc walecznych”,

grana w Teatrze Wojska Polskiego w wykonaniu zespołu Przemysłowego Zjednoczenia Budowlanego w Poznaniu, o której swego czasu pisaliśmy na łamach naszej gazety. Sztuka ta nie pozbawiona drobnych błędów, traktująca zagadnienia walki klasowej w sposób nieco zbyt schematyczny, w wykonaniu poznańskiego zespołu nabrała rumieńców życia, zajaśniała nowym blaskiem.

Prostota i bezpośredniość gry aktorów, szczere przejęcie się problematyką utworu, złożyły się na to, że sztuka ani przez chwilę nie nużyła widza, a przeciwnie — trzymała go w nieustannym napięciu i przykuwała jego uwagę. Aktorzy — przeważnie betoniarze, zbrojarze, cieśle i ślusarze — czuli się na scenie, jak na swojej „rodzonej” budowie, widać było, że nie tylko grają ale i głęboko przeżywają swe role, że walka, jaka toczy się na scenie, walka „tysiąca walecznych” budowniczych osiedli, współzawodniczących z sobą o nowe metody pracy, jest ich własną, codzienną walką i że zwycięstwo w tej walce jest ich własnym zwycięstwem. Ileż młodzieńczego entuzjazmu i żarliwości włożył w rolę Stefana Przybojewskiego, młodego racjonalizatora, zapaleńca — tokarz Bronisław Krauz, z jaką wewnętrzną pasją i skupieniem gra przodownika pracy, majstra Ziębę — Marcin Roth w życiu również wielokrotnie przodownik pracy. A jaką znakomitą, kłopotliwym i temperamentem sylwetkę stałego robotnika stworzył 56-letni przataczka Jadwiga Menefeld.

„Tysiąc walecznych”, to bardzo udana próba sił zespołu Poznańskiego Przemysłowego Zjednoczenia Budow-

lanego. Udana nie tylko dzięki znakomitej grze aktorów i starannej pracy reżysera, ale przede wszystkim dzięki temu, że zespół i cała załoga zakładu zrozumieli istotę sztuki, gruntownie przemyślały i przeanalizowały jej problematykę. Zespół wykonawców i załoga Zjednoczenia stały się „reżyserem” sztuki, zespalały scenę z własnym życiem, własne uczucia, troski, radości i zwycięstwa przenosząc na grunt sceniczny.

Wszystkie te względy wzięte zostały pod uwagę przez sąd konkursowy, który słusznie i sprawiedliwie ocenił całokształt pracy Budowlanych z Poznania, przyznając im pierwszą nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Sukces zespołów amatorskich województwa poznańskiego nie ograniczył się do zwycięstwa „Tysiąca walecznych”. Drugą nagrodę Min. Kultury i Sztuki otrzymał zespół Okręgowego Zarządu Kin z Poznania za sztukę J. Tonowicz pt. „Wiejskie kino”, a jedną z trzech nagród Min. Kultury i Sztuki — Zespół PGR Gościejowice, który wystawił „W rodzinnym domu” J. Piotrowskiego. Z wyróżnieniem indywidualnych drugą nagrodę w dziedzinie reżyserii otrzymał H. Winowicz za opracowanie „Tysiąca walecznych” oraz w dziedzinie nagród dla autorów — nagrodę Min. Kultury i Sztuki — J. Tonowicz, autor „Wiejskiego kina”.

Zarówno ilość nagród jak i wysoki stopień świadczą, że ruch amatorski w województwie poznańskim idzie po właściwej drodze, że rozwija się pomyślnie. Gratulując laureatom ich bardzo pozytywnych osiągnięć mamy prawo oczekiwać dalszych sukcesów

M. D.

Śladem wędrujących książek

Napisali: Tadeusz Pasikowski i Józef Tułasiewicz

Mały, ale czyste sklepienie nie różniłoby się od dawnej księgarni, gdyby poustawiane na półkach książki nie były owinięte w kolorowe okładki z wypisaną na grzbiecie sygnaturą. Za konturem rozetła broszury młodzieńca dziewczyna w skromnej, pepitowej sukience. Ma śniadą cerę, piwne oczy w łagodnym owalu twarzy i wysoki czoło nad łukami wyraźnie zarysowanych brwi. Dwa ciemne warkoczki spływają na jej ramiona.

Patrzy na nas ciekawymi oczyma, a gdy pytamy o bibliotekarkę, ukazuje w uśmiechu białe, lśniąco zęby i skłaniając lekko głowę, mówi z odcieniem dumy w głosie:

— To ja prowadzę bibliotekę.

— Pani jest kierowniczką biblioteki? — Nasze zdziwienie miesza się z niedowierzaniem.

— O nie — zaprzecza energicznie. Tak wysoko jeszcze nie awansowałam — jestem tylko praktykantką bibliotekarską, lecz pracuję samodzielnie.

— A ileż to miła pani! Uczy sobie wiośen? — pytamy niedyskretnie.

— Piętnaście — wypala rezolutnie. Skończyłam pię-

tnaście lat, a dość często dzieci nie umiające jeszcze czytać. Nie do wiary! A jednak...

Rok przeszło temu trafił do biblioteki 5-letni Zygmunt Witold. Jasnowłosy brzdąc rozglądał się ciekawie po bogatym księgozbiorniku, a gdy mu kierowniczka pokazała książeczkę z bajecznymi kolorowymi obrazkami, tak się zachwycił, że zapragnął zdobyć ją na własność. Nie pomógłi prośby i perswazje. Rozpłakał się, lecz skarbu nie wypuścił z rąk. Aby malca uspokoić książkę trzeba było wypożyczyć. Dopełniono formalności i Zygmunt wpisany został do rejestru „czytelników”. Od tego czasu minął przeszło rok, a na karcie Zygmunta figuruje już 55 pozycji. „Nie usnie wieczorem — chwali się teraz matka — jeśli nie przeczytam mu paru stroniczek.” Bystry chłopiec przepada za bajkami, a historia o „Sioniu Trąbalskim” utkwiała najgłębiej w jego jasnej głowie.

Zygmunt Witold nie jest jedynym „klientem”, nie umiającym czytać. Często gości w bibliotece są: 6-letnia *Helutka Matysik*, która w ciągu dwóch miesięcy wypożyczyła aż 17 tomików i nieco od niej starsza *Krysia Furmanówna*, z liczbą 16 w tym samym czasie wypożyczonych

nie tylko rozszerza horyzont wiedzy i staje się największą przyjemnością w wolnych chwilach — zauważyła w czasie rozmowy — ale wzbogaca człowieka w piękno duchowe, przeżyje i pozwala mu poznać najwyższe wartości życia społecznego”.

Miłośników książek, w dojrzalszym wieku, jest w Zbąszyniu wielu. Należą do nich: *Franciszek Wiśniewski*, *Weronika Pers*, *Maria i Wacław Wiatrowie*, *Antoni Apolinarowski* — kierownik jednej z placówek spółdzielczych i szereg innych. Ta kategoria wypożyczających czyta najchętniej literaturę piękną. Z autorów polskich największą popularnością cieszą się: *Kraszewski*, *Prus*, *Orzeszkowa*, *Sienkiewicz*, *Mickiewicz*, *Słowacki*; z obcych — *Gogol*, *Turgeniew*, *Tołstoj*, *Gorki*, *Ażajew*, *Polewoj*, *Balzac*, *Zola*...

Starsze pokolenie nie bije rekordów, gdy chodzi o liczbę wypożyczanych dzieł. Czyta tyle, na ile pozwala na to czas po pracy zawodowej i obowiązkach społecznych. Rekordy biją młodzi.

Lekkie zakłopotanie widoczne w oczach *Franciszki Mustatowej* szybko tonie, w miarę, jak opowiadamy, że celem naszej wizyty jest pogawędka o książkach. Toteż wkrótce dowiadujemy się, że najbardziej ulubioną rozrywką tej młodej mężatki jest czytanie dzieł literatury polskiej i światowej.

„Bez książki, dzień — w takim mieście, jak Zbąszyń — byłby dla mnie nudny” — mówi. „Ale, proszę nie sądzić, że czytam tylko dla zabicia nudy. O — nie! Dziedzina słowa pisanego jest źródłem, które daje jasny pogląd na świat i wiąże czytelnika z treścią współczesnego życia. Tylko... ależ poco pisać o mnie w gazecie” — dodaje. Otrzymałszy jednak w końcu zezwolenie na tę „niedyskretną”, dlatego możemy zdradzić także i to, że p. Mustatowa w ciągu dwóch i pół lat korzystania z biblioteki, przeczytała ponad 300 książek! Piękny to rezultat. Wiele mówiący o umiłowaniu kultury, wiedzy i prawdy!

Młodzi przodownicy czytelnictwa tworzą w Zbąszyniu sporą gromadę. Nie sposób więc wszystkich wymienić. Ale... niech czytelnik pozna choć kilku ich reprezentantów: Oto *Wiesław Chmielewski* — uczeń Szkoły Energetycznej. Czyta po 12 książek miesięcznie, a łącznie przeczytał już ponad 200 tomów; *Marian Kubański* — uczeń szkoły podstawowej. W ciągu szesnastu miesięcy zapoznał się z treścią 100 książek; *Jacek Migdalewicz* — uczeń szkoły podstawowej. W pół roku pochłoniął 74 książki.

Oto — jeszcze jeden z wyrazów rewolucji kulturalnej w Polsce Ludowej. Jeszcze jeden wyrok na ciemnotę!

Czerwony sweter i biała bluzeczka doskonale harmonizują z pełną temperamentu i młodzieńczego zapału postawą *Teresy Namysł*. Jej błyszczące oczy potrafią płonąć, gdy mówi o lekkim zarysowanym uśmiechu stwarza z miejsca serdeczną, a więc porozumienia. Dlatego zapewne ta młoda nauczycielka — potrafiła sobie tak mocno zaskarbić serca wychowywanej przez siebie młodzieży w szkole podstawowej. Córka wielkopolskiej wsi, absolwentka Liceum Pedagogicznego w Sulechowie i — podobnie, jak jej b. uczennica Janka Król — członkini ZMP, dzieli dzień między pracę w szkole i liczne obowiązki społeczne. Prowadzi ponadto bibliotekę szkolną, której tysiąc tomów wędruje równie szybko między młodzieżą, jak książki Biblioteki Miejskiej wśród mieszkańców Zbąszynia.

Teresa Namysł zna doskonale polskich i rosyjskich klasyków oraz wiele dzieł literatury współczesnej. A swoją opinię o książkach wyraża w zdaniach: „Jak literatura piękna wiąże nas z wszystkim co było najwspanialsze i najbardziej postępowe w przeszłości, tak nowa

książka współdziała w dziele wychowania dzisiejszego człowieka i rozwinięcia jego światła i rozumu. W dziele podniesienia jego poziomu społecznego. Współczesna książka będąc źródłem wiadomości ideologicznych, a także i zawodowych staje się ogniwem łączącym czytelnika z duchem przemian socjalistycznych, odzwierciedla walkę o pokój, o utrwalenie międzynarodowego braterstwa ludzi pracy”.

W Stanach Zjednoczonych norma nakładu przeciętnie poczytnej powieści wynosi od 5 do 10 tys. egzemplarzy. Najlepiej „idące” książki tzw. „best-sellery” drukuje się w nakładzie 50 tys. A trzeba zaznaczyć, że Ameryka to kraj o 140 mil. ludności i że tamtejszy rynek księgarski posiada znaczne możliwości eksportowe na książki pisane w języku angielskim.

Jaka literatura propaguje kapitaliści amerykańscy? Czy dzieła najlepszych i postępowych pisarzy?

Nie — zła literatura dawno już zdusiła tam dobrą. Do czytelnika dociera masowo jedynie szmira kryminalna lub grafomańskie skróty i „przekłady”, zapładniające wyobraźnię rabunkiem, gwałtem, morderstwem.

22-milionowy księgozbiór naszego kraju zniszczony w czasie wojny w 88 proc. obejmuje już dzisiaj 55 mil. tomów przy 85 tys. bibliotek i punktów bibliotecznych. W 24-milionowej Ludowej Polsce wydano do kwietnia br. 30.052 tys. tytułów o łącznym



Fot. (2): Tadeusz Pasikowski

Jeśli matka Zygmunta Witolda nie ma czasu, by wstąpić do biblioteki, najmłodszy ten „czytelnik” znajdzie tam zawsze serdeczną opiekunkę w osobie Janki Król.

nakładzie 450 milionów egzemplarzy. W milionowych wydaniach ukazywały się dzieła klasyków literatury polskiej i polskiej twórczości współczesnej, a zwalczane w Ameryce dzieła Howarda Fasta wydrukowano u nas w nakładzie 311.000 egzemplarzy!

Niechaj wystarczą te wymowne przykłady. Nawet bowiem one doskonale odzwierciedlają leninowsko-stalinowską tezę o dwóch kulturach: kulturze demokratycznej i ludowej i kulturze reakcyjnej — antyludowej. Gorki pisał, że „kultura to system

metod pracy i rozumowania, za pomocą których ludzkość rozszerza swoje poznanie świata w tym celu, by stopniowo go zmieniać”. Radziecki pisarz Bursow dodaje: „Współczesna burżuazja nie jest zainteresowana w przekształcaniu świata i dlatego jest przeciwniczką kultury we właściwym, rzeczywistym znaczeniu tego słowa”.

Oto — cała „tajemnica” różnicy dwóch kultur. I która lepiej służy człowiekowi pracy, która wyprowadza go z mroków nocy ku światłu piękna i prawdy? Ocenicie sami.

Zbigniew Siedlecki

O pięciu centach, Giocondzie i kielichu cykuty

Co można kupić za 5 centów?

Pięć centów to dwudziesta część dolara. A dolar to potęga. Można więc za nie kupić gumę do żucia, papierosy, czy nawet kiepskie cygarety, zyletki, wodę z sokiem... pomysłów kupiec w Chicago założył wielki magazyn, w którym każdy to-

war kosztował tylko pięć centów. Interes prosperował doskonale. Z ulamków centa, zarabianych na każdej pięciocentowej transakcji, urosły grube tysiące. Konkurencja podchwyciła pomysł i dziś istnieją już liczne pięcio- dziesięcio- dwudziesto- itd. centowe magazyny.

Za pięć centów można także kupić kolorową plachtę „comica”. A tam można znaleźć, obok serii najnowszych wycisków Freda Killera, powieść Wiktora Hugo „Człowiek śmiechu”, skróconą do podpisów pod kilkudziesięciu jaskrawymi rysunkami...

Codziennie jeżdżąc metrem lub koleją do pracy. Ty jedziesz dziesięć minut. Twój sąsiad — siedem. A twój kolega z biura — dwanaście. Co robić w ciągu tych kilkunastu minut, wypełnionych jazdą? Patrzeć w okno? Za szybą metra migają tylko światła lamp. Za szybą wagonu nadziemnej kolei przesuwają się olbrzymie arkusze reklam, które znasz na pamięć. Myśleć? To zajęcie zbyt niebezpieczne w kraju dolara...

Przez wiele tysięcy lat tworzyła ludzkość swą kulturę. Tworzył geniusz człowieka wdzierał się w coraz nowe dziedziny, wydzierając przyrodzie jej tajemnice, przeobrażając ją, dostosowując ją do swych potrzeb, budując nowe, doskonalsze życie. Artysty i poeci oddawali bogatą treść nowego życia w sztuce, filozofowie nogolniali wiedzę, pracowicie zebraną przez badaczy. Narastał ogromny, przegromiony dorobek kultury, z którego korzystały coraz nowe pokolenia. Człowiek z dnia na dzień wzbogacał, powiększał ów dorobek tak szybko i twórczo jak nigdy dotychczas.

Dorobek ogólnoludzkiej kultury jest wiecznie żywy, bo powstawał w walce, bo każda jego cząstka,

każda idea, odkrycie, rodziły się w ogniu walki, w gorącym ścieraniu się ze starymi, zaskorupiałymi ideami, zwyczajami, prawami.

Nasza epoka — stalinowska epoka zwyciężającego socjalizmu — jest dla ludzkości potężnym, potężniejszym niż kiedykolwiek zrywem. Tętni gorącym, dynamicznym życiem. Pełna jest pasji tworzenia. Zdumiewająco szybko i ofiarnie rodzi nowe wartości, które wzbogacają ludzkość. A dlatego, że jest epoką tak twórczą i żywą, pełnymi garściami czerpie z dorobku epok minionych, wylania z głębin historii wszystko to, co wartościowe i piękne, nawiązując do każdej postępowej tradycji.

Kalif Omar — tępy, fanatyczny łotrak spalił bibliotekę aleksandryjską — skarbnicę wiedzy starożytnego Egiptu, krajów Bliskiego Wschodu i antycznej Grecji, twierdząc, że wszelka mądrość mieści się w Koranie. Hitler nakazał niszczyć zabytki kulturalne na ziemiach rosyjskich, twierdząc, że tylko germańska kultura winna panować na świecie. Dzisiejsi władcy Ameryki tępią wszystko, co nie mieści się w „amerykańskim stylu życia”. Pragną zniszczyć wielką wartość ogólnoludzką kultury, aby tym łatwiej zmienić własny naród w horde tępych, posusznych żółdeków, aby tym łatwiej uczynić z ludzi innych narodów bezmyślnych, posusznych niewolników.

Ludzkość występuje w obronie swej kultury. Ale obrona ta nie jest bynajmniej tylko ochroną. Nie ukrywamy w podziemnych schronach spuścizny wielkich pisarzy i myślicieli, dzieł mistrzów rzeźby i malarstwa. Nie mumifikujemy wielkiego dorobku kultury po to, aby stał się zniszczeniem. Przeciwnie — czynimy zeń narzędzie walki, widzimy w nim potężną, aktywną siłę, która wzmacnia walkę ludzkości o pokój, dodaje sił bojujnikom pokoju.

Dlatego Światowa Rada Pokoju — przedstawicielstwo ludzkości w walce o pokój — podjęła ceną inicjatywę uczczenia pamięci wielkich twórców ogólnoludzkiej kultury. Dlatego w bieżącym roku obchodzimy rocznicę Wiktora Hugo, Leonardo da Vinci, Gogoła, Aviceiny, a będziemy czcić uroczystymi obchodami w przyszłych latach pamięć Kopernika, Lomonosowa, Newtona, Dantego, Rabelajsa, Puszkina, Linneusza, Darwin, Miczurina, Curie-Skłodowskiej — tych wszystkich, którzy przed wiekami tworzyli wartości, którymi dziś żyjemy, którzy współ-

ni są i bliscy wszystkim narodom naszego globu.

Za pięć centów można kupić bilet do taniego, zadymionego kina w gorszej dzielnicy. Za pięć centów można przez dwie godziny oglądać na ekranie jednakowo rozżemiane twarze setek girls, ich gołe uda, drgające rytmem tańca. Czy warto więc pość do mu-

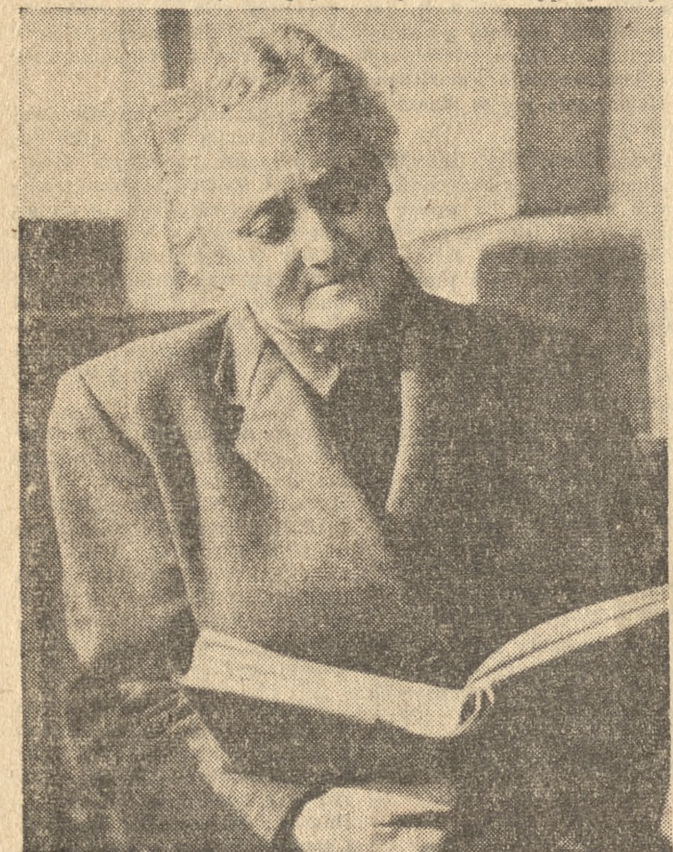


zeum i w uśmiechu Mony Lizy doszukiwać się syntezy nieuchwytnego czaru kobiecości? Czy warto czegośkolwiek doszukiwać się? Czy warto myśleć, dlaczego ma się w kieszeni niewiele ponad pięć centów, za które po raz drugi kupi się bilet do kina? Czy warto myśleć o tym, że jutro lub pojutrze, kiedy ręka nie znajdzie w kieszeni nic oprócz pióra, trzeba będzie pość do biura werbunkowego?

Sędziowie ateńscy, pilnie strzegący, aby nic nie śmiało się zmieniać w grodzie pod Akropoliem, podali kielich cykuty medrowi, który głosił ideały mądrości i cnoty. Dziś władcy dolarowego Akropolu usiłują saczyć ludzkość trucizną rozkładu i zginięcia, aby zabić w niej mądrość i piękno, aby zniewolić ją i spódląć.

Nie pozwólmy na to. Pragniemy ocalić godność człowieka i podnieść ją wyżej, niż kiedykolwiek w historii. Pragniemy ocalić ogólnoludzką kulturę i wzbogacić ją o nowe, najwyższe wartości. Pragniemy uczynić nasz glob królestwem ludzi wolnych i szczęśliwych.

Dlatego walczymy o pokój.



Pełną pogodę twarz p. Ludmiły Juriewiczowej zdobi niejednokrotnie uśmiech, w czasie czytania skracającej się perłami humoru i głębochich myśli książki Romain Rollanda pt. „Colas Breugnot”.

naście lat — i nagle wybuch perlistym, zaraźliwym malców rozkochanych w śmiechem, a my wtórujemy jej, sami nie wiedząc dlaczego.

W taki to sposób zawarł się znajomość z *Janką Król* — praktykantką w Bibliotece Miejskiej w Zbąszyniu. Rychło przekonał się, że mimo młodego wieku dziewczyna doskonale daje sobie radę na swej pierwszej w życiu posadzie. Pracuje dopiero czwarty miesiąc, lecz w krótkim tym czasie zdążyła zapamiętać kilkaset tytułów w powierzoną jej plecy księgozbiornik i zna wszystkich niemal wypożyczających. Niemal to sukces młodziutkiej Janki, bo biblioteka liczy 1360 tomów, a korzysta z niej 672 stałych czytelników.

Książki są dla młodej Janki żywiołem, bez którego zgasiłaby jej radość życia. Chroni je i segreguje według czterech zasadniczych działów: literatury dziecięcej, pięknej, naukowo-popularnej i marksistowskiej. Książki z poszczególnych działów owinięte są w odróżniające je barwne okładki. Wystarczy więc rzucić na nie okiem, by wiedzieć, jaka jest ich treść. Ambicją bibliotekarki jest, by w katalogu figurowało ich najwięcej, a na półkach — jak najmniej. Im częściej wędrują — tym bardziej są pożyteczne.

Codziennie po południu przybywają „klienci”. Starzy

Nie puszczajmy pieniędzy z dymem

Najdokuczliwszym dla rolników i najtrudniejszym do wytępienia chwastem — pa-
sożytem jest bez wątpienia perz. Zaperzona ziemia wy-
daje z reguły o 50% mniej-
sze zbiory. Toteż walka z tym
uporczywym szkodnikiem ro-
ślin uprawnych prowadzona
jest b. energicznie. Prawie
każdej jesieni i na wiosnę
widzimy na polach kupki wy-
suszonych perzu podpalane
przez rolników. To jest jeden
ze sposobów walki. Puszczamy
jednakże razem z dymem
— pieniądze.

Jak to pieniądze? — zdzi-
wi się czytelnik. Przecież perz
jest szkodliwym chwastem.
Tak, to prawda, ale nie
wszyscy wiedzą, że perz na-
leży także do cennych su-
rowców lekarskich, surow-
ców poszukiwanych w kraju
i za granicą. Zakłady Surow-
ców Zielarskich płać zbier-
aczom za 1 kilogram perzu
— 11 zł. Dziwne — prawda?
A jednak tak jest i dlatego
palenie perzu, to puszczanie
pieniędzy z dymem. A tak
łatwo zdobyć i dostarczyć do
punktów skupu pędy tej pa-
sożytniczej rośliny.

Rozłogi perzu zbiera się
przy bronowaniu pól za-
chwaszczonych, a więc bez
specjalnego wkładu pracy.
Po zebraniu odcina się z roz-
łóg części nadziemne, myje
się dokładnie rozłogi, aby o-
czyścić je z ziemi, a następ-
nie suszy na słońcu, na stry-
chu lub w miejscach lekko
ogrzanych. Po wysuszeniu
kłączy przesiewa się celem
usunięcia cienkich korzon-
ków, a potem pakuje w wo-
rek, dostawia do Zakładu
Surowców Zielarskich i... pie-
niądze w kieszeni. Rozłogi
perzu, dostarczone do Zakła-
du muszą być jednak długie,
czyste, koloru jasno-słonia-
stego. Są to główne warunki
przyjęcia towaru.

Polski rycynus w aptekach

Popularyzowanie uprawy
rącznika (rycynusu) w na-
szym kraju dało pozytywne
wyniki. Przebiliśmy mur u-
przedzeń, streszczających się
w tym, iż w naszych warun-
kach klimatycznych egzotyka
na rośliny się nie uda. Prak-
tyka wykazała, że uprzedze-
nia były bezpodstawne. Po-
myślny zbiór nasion rącznika
w roku ubiegłym, uprawia-
nego w ramach kontraktacji
roślin oleistych, pozwolił na
całkowite pokrycie potrzeb
rynku krajowego na olej far-
maceutyczny. Zarząd Prze-
mysłu Zielarskiego zaopa-
trzył wszystkie apteki spo-
łeczne w olej rycynowy cał-
kowicie produkowany w kra-
ju.

W roku bieżącym obszar
upraw rącznika został poważ-
nie zwiększony. Zapewnia to
pokrycie zapotrzebowania nie
tylko dla celów leczniczych
lecz także technicznych. Wo-
bec dostatecznych ilości ole-
ju farmaceutycznego, znie-
sione zostały ograniczenia w
sprzedaży i w lecznictwie we-
terymaryjnym oraz unieza-
leżniono się od zagranicy.

Dzięki zastosowaniu upraw
rycynusu rolnictwo polskie
spełniło doniosłą rolę w dzie-
linie zaopatrzenia ludności
w bardzo ważny lek oraz po-
większyło własne dochody.
Nie wszystkim wiadomo, że
pierwsze wprowadziły upra-
wę tej rośliny Przemysłowo-
Rolne Zakłady Zielarskie w
Kłecze pow. Jarocin. Tam też
odbywa się huszczenie nasion
rącznika i wytłaczanie oleju
farmaceutycznego.

Odra połączy nas z trzema morzami

Przykład wielkich budowli
komunizmu na Woldze,
Donie, na Dnieprze i na Amu-
Darii, które przekształcały przy-
rodę i wyżywiały nowe dzie-
siątki milionów ludzi, obudził
w krajach demokracji ludowej
chęć realizacji wielkich planów
połączenia kanałami Odry, Du-
naju i Czarnego Morza.

Nie są to zasadniczo nowe
plany. Najbardziej oświecone
umysły w ubiegłym wieku ro-
zumiały potrzebę budowy ka-
nałów śródlądowych w Europie
Środkowej, lecz ustrój feudalny
i ustawiczne wojny, które opu-
stoszały skarbcze państw, leżą-
cych nad Dunajem i Odrą, wre-
szcie sprzeczności gospodarcze
okresu kapitalistycznego nie
pozwoliły na realizację planów.
Dopiero obecnie w okresie bu-
dującego się socjalizmu w Pol-
sce, Czechosłowacji, Rumunii
i na Węgrzech sprawa połącze-
nia Bałtyku przez Odrę i Dunaj
z Morzem Czarnym, staje się
nie fantazją, lecz całkiem rea-
lną możliwością.

Już przed 300 laty w 1653 ro-
ku powstał projekt połączenia
Odry z rzeką Morawą i Dunaj-
em i uczynienia tych rzek spła-
wnymi. Jest to najstarszy zna-
ny plan budowy kanału Odra-
Dunaj. Od tego czasu kilkakrot-
nie powstają i giną nowe po-
mysły, jak na przykład projekt
niejakiego Lothara de Voge-
monta z 1700 roku. W 100 lat
później w 1807 roku w Bernie
Morawskim obradowała spe-
cjalna komisja nad uszluszenie-
m rzeki Morawy. Projektowa-
li chcieli połączyć tę rzekę
z Odrą i Wisłą. Za naszych
czasów hitlerowskie Niemcy,
przygotowując się do zawa-
dzenia Europą w 1938 r., zawa-
rzyli umowę z Czechosłowacją
w sprawie budowy kanału odrzań-
sko-dunajskiego. Po zagarnię-
ciu Czechosłowacji przystąpi-
no już nawet do prac pod Kę-
dzierzynem i pod Wiedniem,
gdyż projektowany kanał miał
mieć dwie odnogi — na Bratys-
ławę i na Wiedeń.

W styczniu br. premier rządu
czechosłowackiego Zapotocky
zapowiedział przystąpienie
wspólnie z Polską do budowy
kanału Odra — Dunaj, który te
dwa kraje połączy z trzema mo-
rzami: Północnym, Bałtyckim i
Czarnym. Kanał szedłby, poczy-
nając od Gliwickiego Kanału,
prawym brakiem Odry, omijałby
od wschodu Morawską Ostrawę,
dalej szedłby doliną Odry przez
historyczną Bramę Morawską,
która przez długie wieki była
miejscem przejść zbrojnych hu-
ców czeskich, polskich i nie-
mieckich. Pod Devinem w po-
bliżu Bratysławy kanał wpadał-
by do Dunaju. Rząd czechosło-
wacki zamierza pod Lipnikiem
połączyć kanał odrzańsko-du-
najski odnogą kanałową z Ła-
bą pod Pardubicami. Inna od-
noga połączyłaby Odrę z rzeką
Wag, lewym dopływem Dunaju
na Słowację. Są to już plany
dalej. Realnie wchodzi i
obecnie w rachubę budowa kana-
łu głównego Odra-Dunaj. Szerę-
g służ skieruje wody na południe
Czechosłowacji, zraszając nie-
dość urodzajne ziemie.

Wybudowanie kanału Odra-
Dunaj będzie mieć ogromne
znaczenie gospodarcze nie ty-
lko dla Czechosłowacji, lecz
również dla Polski. Ułatwi po-
średnictwo Polski w handlu
między Północą i Południowym
Wschodem. Okręg przemysłowy
Morawskiej Ostrawy w Cze-
chosłowacji otrzyma rudę
szwedzką, dostarczaną Odrą
i rudę radziecką Dunajem. Odra
stanie się wielką arterią komu-
nikacyjną dla całego obszaru
Śląska, z jego licznymi zasoba-
mi naturalnymi i ośrodkami róż-
nych gałęzi przemysłu. Ziemia
Lubuska otrzyma dla pólów
rolnych i spławu drewna do-
godną komunikację. Drogi wo-
dne są bowiem i na pewno na
długo pozostaną najtańszym
środkiem transportowym —
dwa razy tańszym od kolei.
Miliony złotych wydawane na
transport kolejowy mogą być
zużyte z powodzeniem na inne
cele.

Polska flota rzeczna dzięki
kanałowi będzie mogła kurso-
wać od Szczecina do ujścia Du-
naju. Do Austrii będziemy mo-
gli dostarczać tańszą drogą nasz
węgiel oraz płody rolne.

W budowie kanału Odra-Du-
naj nie mniej zainteresowane są
od nas i Czechosłowacji Rumu-
nia i Bulgaria. Zwłaszcza Ru-
munia, przez której terytorium
przepływa Dunaj na przestrzeni
1075 km. Ujście Dunaju do Mo-
rza Czarnego, jak wiadomo, jest
bardzo rozgałęzione. Tworzą je
trzy odnogi: Kilia, Sulina i Geo-
rgia, z których tylko Sulina jest
spławną dla statków płynących
Dunajem na Morze Czarne. Jed-
nakże Sulina nie posiada sta-
łej, żeglujowej głębokości, a
liczne mielizny nie pozwalają
na przepływ większych statków.
Rząd Rumuńskiej Republiki Lu-

dowej, biorąc przykład z wiel-
kich budowli komunizmu w
Związku Radzieckim i mając na
względzie przyszły kanał Odra-
Dunaj, przystąpił już do prze-
kopania kanału pomiędzy Du-
najem i Czarnym Morzem po-
przez Dobrudżę. Budowa tego
kanału rozpoczęła się w 1940 r.
i w 1955 r. kanał oddany bę-
dzie do eksploatacji.

Nie trzeba dodawać, jak
wielkie znaczenie posiadają bę-
dzie dla kanału Odra-Dunaj u-
regulowanie dojścia do Morza
Czarnego. Przy budowie kanału
rumuńskiego pracują już ma-
szyny radzieckie. Te same ma-
szyny, a być może jeszcze do-
skonalsze, znajdą zastosowanie
przy budowie kanału Odra-Du-
naj, dzięki pomocy Związku
Radzieckiego.

H. Barański



Maszynowa melioracja łąk i pastwisk

Podniesienie hodowli bydła uzależnio-
ne jest, jak wiadomo, w znacznym
stopniu od stanu łąk i pastwisk, które są
głównym źródłem paszy. Nie wszystkie
pastwiska i łąki odpowiadają swemu ce-
lowi, wiele wymaga starannej pielęgnacji
i melioracji.

Rząd radziecki, doceniając znaczenie dla
hodowli bydła baz pokarmowych, zaopa-
trzył kołchozy i sowchozy w liczne maszy-
ny rolnicze, służące polepszeniu stanu łąk
i pastwisk.

Roboty, osuszające łąki wykonują eks-
kawatory E-351 (rys. 1) zaopatrzone w
szerokie gasienice, ułatwiające im prze-
jście po błotach. Pojemność czerpaka tego
ekskawatora wynosi 0,35 m³. Maszyna za-
opatrzona jest w strzałę z łopatą, przy-
stosowaną do kopania rowów. Produkcja
ekskawatora przy kopaniu rowów wynosi
50 m³ na godzinę.

Do kopania rowów osuszających używa-
ne są dwuskbowe, pługowe kopaczki KM-
1000 i KM-800. Pierwsza z nich przezna-
czona jest do rowów na gruntach torfia-
stych i daje row głębokości 1 m i szer-
okości u dołu 0,2, a na powierzchni 1,2 m.
Druga kopaczka różni się od pierwszej
tylko kształtem zewnętrznym i używa się
jej na gruntach kamienistych. Maszyny
te kopią rowy, tworzą małe pagórki, które
należy zrównać z pozostałym gruntem. Do
tego celu używane są buldożery typu D-
159. Zasypują one jamy, równają wznie-
sienia drenażowe i wykonują tym podob-
ne roboty. Buldożer tego typu posiada noż
— odkładnicę wmontowaną na przodzie
traktora. Buldożer w ruchu wyrównuje
grunt na przestrzeni 0,4 — 0,7 ha w ciągu
godziny.

Inne zadanie ma do spełnienia maszy-
na do karczowania pni i usuwania więk-

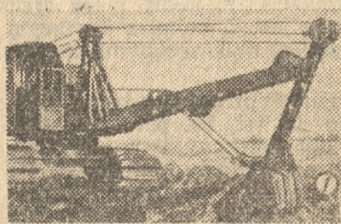
szych kamieni. Przygotowuje ona teren
pod łąki lub pastwiska. Jest to typ D-210.
Fabryki radzieckie produkują dwie od-
mianny tej maszyny: wąskochytną z cze-
rema zębami i kratawą odkładnicą szer-
okości 1,5 m i szerokochoytną z odkładnicą
nieprzepuszczalną szerokości 2,3 m z osmii
zębami. Pierwsza maszyna służy do usu-
wania kamieni i karczowania pni, druga
do usuwania ściegłych krzaków i drzewek.

Ścinania zarośli, krzaków i młodych
drzew na łąkach i pastwiskach dokonują
maszyny typu D-174-A. Tworzą je trój-
katne odkładnice wmontowane do trakto-
rów i zaopatrzone u dołu w noże. Ramę
i noże podnosi specjalna dźwigarka. Dla
ochrony przed padającym drzewem umo-
cowana jest na wierzchu traktora żelazna
krata. Maszyna ta ścina drzewa grubości
od 25—30 cm średnicy. Kępy na łąkach
i pastwiskach stanowią poważną przeszk-
odę w normalnej robocie kosiarek tra-
wy i przeszkadzają paszeniu bydła. Do-
skonale rozrzuca i spulchnia te kępy
krzakowo-biotny pług PKB-56.

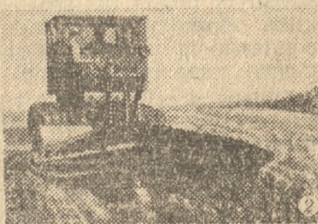
Najlepszą maszyną do niszczenia kęp na
łąkach i pastwiskach jest frezarka-biotnik
FB-1,9, pracująca na przyczepce traktora.
Maszyna ta składa się z bębna umocowa-
nego na dwóch kołach. Będąc w ruchu
ścina zarośla i odrzuca je poza siebie,
gdzie podchwytują je grabie umieszczone
poza bębniem i rozrzucają po ziemi. Nie-
zbędnym narzędziem melioracji łąk i pa-
stwisk jest walec podobny do tych, jakich
używa się przy robotach na szosach, tylko
znacznie lepszy.

Hodowcy bydła w ZSRR, stosując wy-
mienione wyżej maszyny na łąkach i pa-
stwiskach, podnieśli znacznie nie tylko
ilość paszy, lecz i jej jakość.

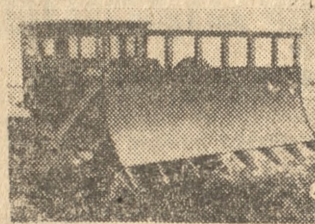
Fr. H.



Ekskawatorka E-351



Kopaczka KM-1000.



Maszyna do karczowania pni i usuwania kamieni.



Balony meteorologiczne
badają kierunki prądów
powietrznych — Jak po-
wstaje kropla deszczu —
Cyklon poprzedza sło-
neczna pogoda

Na stan pogody wpływa
cały szereg zjawisk: ci-
śnienie atmosferyczne, tem-
peratura, wilgotność powie-
trza, wiatr, obłoki, opady.
Zmiany pogody zachodzą nie-
raz na przestrzeni kilku ty-
sięcy kilometrów. Już Łomo-
nosow stwierdził konieczność
założenia sieci stacji meteo-
rologicznych w tym celu, by
ludzie mogli przewidywać
stan pogody. On pierwszy
zauważył związek, jaki za-
chodzi między zmianą pogody
a ruchem powietrza.

Obecnie każdy z nas wie,
jakie znaczenie ma badanie
pionowych powietrznych pra-
dów i innych zjawisk fizycz-
nych i procesów zachodzą-
cych w stratosferze tj. ponad
warstwą powietrza znajdują-
cą się pod bezpośrednim
wpływem powierzchni ziemi.
Zagadnieniem tym — zajmu-
je się specjalna nauka —
aerologia.

Ogromne znaczenie dla roz-
woju tej nowej gałęzi nauki
miała aeronautyka. Z chwilą
wynalezienia balonu odkryła
się możliwość badań atmo-
sferycznych przy pomocy
specjalnych instrumentów,
na dużych wysokościach. Już
w 1804 r. w Rosji — uczonego
Zacharowa wznosił się na ba-
lonie na wysokość 2600 m.
Znakomity uczonego rosyjski
Mendelejew przywiązywał
wielką wagę do badań atmo-
sferycznych. Przewidywał, że
przyjdzie czas, kiedy balon
będzie takim samym narzę-
dziem w ręku meteorologa
jakim jest barometr.

W chwili obecnej, balony
napełnione wodorem, służą
do określenia wysokości i kie-
runku wiatru, przy ich po-
mocy umieszcza się na dużej
wysokości najrozmaitsze przy-
rządy, służące do przeprowa-
dzania badań nad elementa-
mi pogody. Niektóre balony
posuwają się wraz z prądami
powietrznymi, unoszącymi się
nad powierzchnią ziemi. Po-
zwala to na przeprowadzenie
badań, które są nie do po-
myślenia w innych warun-

kach. Lot balonu jest — w
tym wypadku — tak spoko-
jny, że w jego gondoli można
pracować niczym w labora-
torium, posługując się naj-
bardziej precyzyjnymi aparata-
mi.

Uczni odbywając długo-
trwałe loty prowadzą syste-
matyczne badania zjawisk
atmosferycznych. Głównym
zadaniem tych lotów to ba-
danie transformacji (zmian
właściwości) prądów po-
wietrznych. Na transforma-
cję ma wpływ ciepło promie-
niujące z powierzchni ziemi,
wchłanianie i wydzielanie
przez powietrze ciepła, a tak-
że wahania temperatury spo-
wodowane — wstępującymi i
zstępującymi prądami po-
wietrznymi.

Badanie transformacji ma
duże znaczenie dla przewidy-
wania pogody.

Podsumowanie lotu dało
szereg ciekawych wniosków.
Na statkach powietrznych
bada się wchłanianie słonecz-
nego promieniowania na wy-
sokości od 4—10 km.

Wspominalśmy już, że
zmiana pogody jest ściśle
związana z pionowym ru-
chem powietrza. Wiadomo
np. że antycyklony — te
straszliwe wichry — z pod-
wyższonym ciśnieniem w cen-
trum — poprzedza zwykle
piękna pogoda. Powstają tam
zstępujące prądy, uniemożli-
wiające przejście pary wod-
nej w stan plynny i stały.
I odwrotnie — pojawieniu
się obłoków i opadów sprzy-
jają prądy wstępujące —
przeważające w cyklonach.

W nieskończonych wio-
rowych ruchach powstają-
cych w stratosferze — moż-
na zaobserwować zawsze pio-
nowe prądy powietrzne. Zmie-
nienie tych szybkości jest b.
interesującym naukowym za-
gadnieniem. Okazało się, że
tylko wolno puszczony balon
poddaje się najmniejszemu
nawet prądom powietrznym
wstępującym i zstępującym,
należy je tylko umiejętnie
rejestrować. Istnieje już
przyrząd zapisujący na filmie
szybkość i kierunek ruchów
pionowych w atmosferze.
Stało się wiadomym, że ich
średnia szybkość waha się od
10—20 cm/sek. A jednak te
wolne przesunięcia b. znacz-
nie wpływają na procesy za-
chodzące w obłokach, czę-
ściowo przyczyniają się do
powiększenia kropel, składa-
jących się na obłoki.

Radzieccy uczeni zajmują
się obecnie takimi zagadnie-
niami jak: z jakich czaste-
czek składają się obłoki róż-
nych rodzajów, jaka jest ich
wielkość, w jaki sposób ma-
leńkie kropelki oboczne
zmieniają się w duże kropel-
ki deszczu, w jakich warunkach
występuje większe, czy mniej-
sze zachmurzenie itp.

Podczepiony pod lecącym
balonem lejek, niedaleko od
gondoli jest połączony wę-
żem gumowym ze znajdującą
się w gondoli pompą ssącą.
Wysane do lejka powietrze
dostaje się na szkiełko, po-
kryte olejem mineralnym.
Na szkiełku pojawia się led-
wo widoczna plamka — to
osiadyły cząsteczki obłoków —
kropelki lub płatki śniegu. Ob-
serwator kładzie szkiełko pod
mikroskop zaopatrzony w ur-
ządzenie do fotografowania.
Wykrywając i fotografując
cząsteczki obłoków — obser-
wator jest w stanie zmierzyć
ciśnienie atmosfer, tempera-
turę, wilgotność powietrza i
określić widoczność.

Badania wykazały, że w o-
błokach o różnych formach
przeważają kropelki określo-
nych rozmiarów. Warstwowo-
deszczowe chmury mają wię-
cej kropli dużych niż chmu-
ry warstwowe. Uczniowie
dzielili się, jak powstają kro-
ple deszczu, jak się powieks-
zają i gdzie znajdują się
strefy możliwego oblodzenia
samolotów.

Poznać dokładnie procesy i
zjawiska zachodzące w at-
mosferze — oto zadanie dla
radzieckich aerologów i ba-
loniarzy.

Zetwu

Malasiński pchnął drzwi i zaraz od progu uderzył go nieprzyjemny zapach gotującej się brukwi. Przy piecu stała Czekalowa, kobieta już po pięćdziesiątce, wysoka, o płaskich oczach. Odwrócona plecami do drzwi nie zauważyła wejścia rzadcy, obójnym wzrokiem ogarniającego niską i zadymioną kuchnię. Pod ścianą przy wymytnym prawie do szczytu stole siedział Franek, niski i krępy, z rozwianą czupryną. Po glinianej podłodze pełzało dziecko i toczyło przed sobą piłkę. Drzwi do pokoju za kuchnią były otwarte na sześcioramienne łóżko patrzyła na niego poślikła twarz Stefana, najstarszego syna Czekalów, chorego na gruźlicę.

— Gdzie ojciec, Franek? — zapytał Malasiński.
Franek wzruszył ramionami i pogłaskał córkę po głowie.
— Gdzie ojciec? — powtórzył, uderzając wierzbową trzcinką w błyszczące cholewy.

— Poszedł na wieś — odpowiedziała Czekalowa.
Malasiński skurczył twarz, mocniej uderzył witek.
— Strajkuje?
Stefan w drugim pokoju zakaszał i schylił się po słoik.
— Żle na tym wyjdziecie, ludzie. A ty, Franek, co, też strajkujesz?

Franek ślizgał się spojrzeniem po matce.
— O co idzie?
— Tatarkę trzeba zwieźć, bo zmarnieje. Jutro niedziela.
— Za darmo nie pojedzie — wycedził.
— Zapłace.
— Franek!... — szepnęła matka.
— Kiedy? Za rok — raczej stwierdził, niż zapytał.
— Zaraz, jak tylko zwiziemy.
— Ile?
— Po sześćdziesiąt groszy od wozu.
— Tak wam na nim zależy?
Rządca się niecierpliwił.

— No jak, Franek?
Dzieciak na podłodze rozplakał się. Matka podniosła go i zakoiysała, tuląc do piersi. Spod podciągniętej ramieniem Czekalowej koszuli, wychylały się zaczerwienione pośladki, cienkie nóżki znaczone brudnymi smużkami zacieków i płaskie stopy.

— Co, matka... pojedzie chyba.
— Czekaj przy wozowni — powiedział Malasiński. Wy-szedł werbować do innych czworaków.

W kuchni legło milczenie. Od pieca szedł słodki zapach brukwi. Na szybie, trzepocząc skrzydłami, bzykała mucha. Stefan poruszył się na łóżku.

— Franek — wychrapał.
— Co?
— Nie idź.
— Co mam nie iść?
— Nie rób świństwa. nomyśl o ojcu. Ojciec nie poszedł do roboty, a ty pójdziesz?
— Ojciec ma swoje porachunki z dziedzicem.
— Wszyscy mamy. A ty nie masz?
— Ja nie.
— Nie masz, boś głupi i nic nie rozumiesz. A kto ci Marcysię zniszczył, nie dziedzic?
— Marcysia zawsze była słabowita.
— Tak, i Wojnarowski zagonił ją na śmierć.
— Nie zagonił. Nawet doktora dał, lekarstwa kupił.
— Doktor nie przyjechał do Marcysii, tylko do Wojnarowskiej. Co ty myślisz, że on by specjalnie dla niej posyłał po doktora?

— Ale jej pomógł.
— Pomógł, pomógł. Pewnie że pomógł, musiał pomóc, bo bez niej Wojnarowska się nawet z krzesła ruszyć nie mogła. Całe dnie i noce przy niej siedziała, myła ją, jeść dawała, chodziła jak koło dziecka. Komu by tam ze wsi chciało się iść na taką robotę, babrać się w czyichś paszkudztwach? Gdyby Marcysia już dawniej we dworze nie była służyła, też by nie poszła. Mieli ją, to ją trzymali i pilnowali, żeby nie uciekła. A jak Wojnarowska umarła, to co zrobił Wojnarowski? Marcysię do szpitala posłał, lekarstwa jej kupował? Wyrzucił.

— Co ty tam wiesz. Niech matka tak na mnie nie patrzy, nikomu nie zamordował — ściągnął czapkę z gwoździa na drzwiach i włożył na głowę.

Trzasnął za sobą drzwiami.
Na dworze był wczesny jesienny dzień i w dworskim ogrodzie szalały kolory. Idąc, deptał, powłóczył liście, które wiatr pozostawił tutaj między niskimi budynkami czworaków. Na dziedzińcu, zwykłe ożywionym o tej porze ludźmi wyruszającymi do pracy, ziało świąteczna pustka. Przed stajnią stały trzy wozy. Kuba wyprowadzał konie. Franek minął go bez słowa i wszedł w ciemne wnętrze pełne gryzącego smrodu końskiej uryny i gnijącej słomy.

Na ukos przez podwórze kroczył rządca, za nim powłóczyło nogami ośmiu robotników.
— Zaprzęgać, zaprzęgać — naglił zły, strzelając oczyma jak brzytwy.

Pojechali.
Pracowali zawzięcie przez kilka godzin, rzadko przemawiając do siebie. Wozy były już prawie pełne, gdy Kuba wyprowadził się i spojrzął w stronę wsi, zapadłej w dolinie i widnej stad jak na dłoni.

— Popatrz — szturchnął Franka ramieniem.
Drogą zbliżała się kupa ludzi. Przodem, skacząc przez rowy, biegły dzieci. Za nimi niesławnym oddziałem maszerowali mężczyźni z podniesionymi do góry głowami i uginając nogi w kolanach, wstępowali pod górę przed mostem.

— Chryste Panie! Do nas idą — powiedział bojaźliwie Grzegorz Skrupała.

Odszedł od swego wozu i przystanął przy Franku, który mruknął coś pod nosem i nie przerwał pracy. Inni przerali i skupili się razem, jak spłoszone stado kur. Odwróceniem w stronę przebiegających już przez rów ludzi — czekali.

— Szcześć Boże — przywitał łamistrjaków stary Zientek. Zdjął zmięty kapelusz i wytarł przeprocony w środku pasek skóry postrzępionym brzegiem rękawa.

Nikt mu nie odpowiedział.
— Cóż to, zapomnieliście chrześcijańskiego języka w gębie?

— Wy się z nas nie naigrawajcie, Wojciechu. Gadajcie, coście chcieli — powiedział zza pleców Kuby Jędrzej Bobola.

— Powiem, tylko powolutku. Nie ma co się spieszyć, dziś święto.

— Jakie święto?
— Nie wiecie? Święto, nikt nie pracuje.
— Ja pracuję.
— Tak, tylko wy. Ilu was tu jest... dziesięciu.

— A kto mi zabronił pracować?
— Nikt nie zabronił, ale była ogólna zgoda, żeby nie iść do pracy. Zapomnieliście?

— Ja się na nic nie zgadzałem.

— Ale wiedzieliście, że ma być strajk?

— Ano... wiedziałem.

— To trzeba było przyjść i powiedzieć: ja, się nie zgadzam.

— Gadanie.
— Nie gadanie, tylko tak jest. Jak strajk, to strajk i wtedy wszyscy strajkujemy.

W roku bieżącym upływa 15 lat od wielkiej fali strajków chłopskich, jakie ogarnęły Polskę w 1937 roku. Małe czy większe, o spokojniejszym czy gwałtowniejszym przebiegu, świadczyły o wzroście świadomości klasowej na wsi. Były jasnym dowodem tego, że wieś polska powstała przeciwko krzywdzie i wyzyskowi, że nie będzie dłużej znosiła całego ciężaru kryzysu ekonomicznego, jaki trząsł kapitalistyczną gospodarką polską.

— A żyć za co będę? Dzieci jeść co nie mają.
— A nasze mają? To jak to, nam się może lepiej pododzi? Spierać się będziemy, u kogo w chałupie większa bieda? U wszystkich jednakowo, sami dobrze wiecie.

Bobola spuścił głowę.
— Niby racja...
— A widzicie.

Zientek oparł się o kłonicę i wyciągnął fajkę. Wysypał z kłapiucha trochę tytoniu na stuloną dłoń, przytknął fajkę i napchał palcem do łebka. Na jego szczeciniałej twarzy, pobrużdżonej jak droga do wsi, nie było żadnej złości, tylko z głębokich oczu, spokojnie obejmujących gromadkę łamistrjaków, wзираł łagodny upór.

Poskrobał się po brodzie i powiedział w stronę Boboli i reszty:

— No jak, ludzie, wyprzagniemy te konie i pójdziemy do domu, co?

— Tak by wyglądało — powiedział Bobola i zaczął wycofywać się w stronę swego wozu.

— Ja nie pójdę — powiedział Franek.

— Dlaczego nie pójdziesz?

— A tak. Nie pójdę i nikt mnie stąd nie wypędzi.

Od mostu nadjeżdżał rządca. Gnady konik, trąc bokami o jasne kołobzie dokarta, biegł lekkim truchcikiem, wznosząc spod kopyt białaste kłębki kurzu.

— Nikt nie będzie wypędzał, Franek, chodzi o to, żebyś sam zrozumiał, że źle robisz.

— Żle? Jak dla kogo.

— Dla nas i dla siebie, bo nasza jedność osłabiasz.



— Nie uczcie mnie, Wojciechu. Dość, jak ksiądz z ambony uczy.

— Już on ciebie nauczy. Najpierw do ciebie z ambory, a potem do dziedzica.

— Przestańcie, mnie tym nie przekonacie. Powiedziałem, że stąd nie pójdę, to nie pójdę, chyba mnie siłą wyrzucicie.

— Krzywdę sobie robisz, Franek.

— Dobrze wam się mówi, Wojciechu, bo wy małych dzieci nie macie, wszyscy wyróśli i do miasta uciekli.

— Taki sam zaszraný żywot tam mają, jak my tu.

— Ale ja mam dziecko, co ma dwa lata i jeszcze nie chodzi. Taka się z niego poczwara zrobiła, jak zwierzak jakiś czołga się na czterech, bo nogi ma za słabe, nie dźwigną go. A czemu? Bo jeść nie dostanie nic porządnego, od brukwi jeszcze nikt siły nie nabierał. I wy chcecie, żebym ja stąd poszedł, nie robił, jak ja mogę zarobić tu z dziesięć złotych i wziąć go do doktora, żeby na te nogi popatrzał. Tego to nie widzicie, nie rozumiecie. O jedności tu będziecie mówić, jak mnie dziecko na kalekę wyrasta.

— Ja wiem Franek, ja wiem — powiedział z westchnieniem Zientek — ale przez jedną wizytę u doktora dziecko nie wyzdrowieje, a przyszłość będzie miało i tak zaprzepaszoną. Skąd weźmiesz na drugi raz, na trzeci? A jak dziecko zapłaci to, co nam zalega, to wtedy będziesz mógł je kurować, aż wydobrzeje.

— Franek, — wtrącił się stary Czekala — patrząc troskliwie na syna — przecież ja to dziecko kocham tak samo jak ty. Tak samo ono moje, jak twoje. Powiedziałem ci już, że jak tylko Józef przyśle pieniądze, ani grosza nie weźmiemy dla siebie, wszystko na tę dziecko damy, bo już mnie serce boli, jak patrzę na tę nieszczęśliwą sierotkę. Pójdziemy do domu, Franek, co?

— Nie pójdę, ojciec.

— Pójdziemy, Franek, co?

— Nie pójdę, ojciec.

— Franek, ja ciebie po dobroci...

— Nie, ojciec.

— Franek — przystąpił bliżej — Franek, nie każ mnie staremu... — podniósł trochę do góry drżącą rękę.

— Nie, ojciec.

— Nie?

Uderzył go w twarz i Franek byłby upadł, gdyby nie ludzie stojący za nim. Czekala pobladł.

— Niech mnie ręka boska za to skarzę... — wyszeptał. Odwróciwszy się, przecisnął się przez ludzi i połaż rozkopanym polem do drogi, zmiażdżony, jakby przez tych kilka sekund przybyło mu parę lat. Z boku, z drwianym uśmiechem na ustach stał rządca, rozkraczonymi nogami mocno wsparty w ziemię.

Ludzie zaczęli schodzić z pola. Wyprzgnięte konie, wlokąc orczyki, poczłapały wolno do wsi. Na polu pozostały furmanki z opuszczonymi na dół dyszlami, obok stał Franek, a niedaleko kołysał się na piętach Malasiński. Po kilku minutach Franek zabrał się powoli za innymi. Zwrócił się z nimi już we wsi na skrzyżowaniu, skąd ludzie rozchodzili się po domach. Niektórzy poszli dalej do czworaków.

Rządca dogonił ich przed bramą. Spod niskich drzew

szpaleru prowadzącego do pałacu wynurzył się na pięknym arabisie hrabia Wojnarowski.

— Co to ma znaczyć, panie Malasiński?

— Strajkuje, panie hrabio.

— Zaraz to załatwimy. Niech pan pozwoli ze mną do pałacu.

Franek wrócił do domu dopiero późnym popołudniem. Pomógł ustawić konie w stajni, zaobrokował je, potem wleżał się przez kilka godzin po obejściu. Nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Matka postawiła przed nim jedzenie. Nie tknął i zaszył się w kącie stołem. Stary Czekala coraz to wychodził z izby, wracał i znowu wychodził. Nikt słowem nie odezwał się do Franka.

Zbliżał się wieczór, cienie za domem wydłużały się i w izbie poszarzało, kiedy w sieni odezwały się głośne kroki. Drzwi pchnięto do wewnątrz i na progu stanął wysoki policjant. Za nim weszło jeszcze dwóch, z paskami pod brodą i karabinkami przewieszonymi przez plecy. Rządca Malasiński zamknął drzwi.

— Tu mieszka Andrzej Czekala? — wysoki policjant przysunął sobie krzesło i usiadł, oparłszy się plecami o krawędź stołu. Zdjął czapkę i chusteczką wytarł spocone czoło. Miał ascetyczną twarz i lysą głowę.

— Mieszka, a co?

— Ach, to wy — wydobyl z kieszeni na piersiach jakiś papier. — Mam tu — podniósł papier do góry — rozkaz komendanta powiatowego policji państwowej, kapitana Pasierskiego, przeprowadzenia u was rewizji.

— Jakiej rewizji, u mnie nic nie ma.

— Zostawcie to dla nas, od tego my jesteśmy — skinął na policjantów — A Franciszek Czekala, to który?

— Ja jestem.

— Acha, dobrze.

— Papierosa, panie aspirancie? — Malasiński podsunął papierosnice.

— Uprzejmie dziękuję. Niech pan ślada, panie rządco. Proszę — podał mu zapalnicę. — No, jak tam chłopcy?

— Narazie nic, panie aspirancie.

Policjanci przeszli do drugiego pokoju.

Aspirant powiódł oczyma po izbie.

— Ubogo tu u was, panie Czekala.

— Jak ma być nieubogo, jak dziedzic nie wypłaca.

— Tak, tak, krzyż. Ciężkie czasy. Ale sobie przecież jakos radzicie, widzę.

Czekala zaciął usta.

— Kto tam ciągle tak kaszle? — podniósł się ze stołka i stanął przed otwartymi drzwiami.

— Chory?

— Gruźlica — wyjaśnił rządca.

Na drzwiach w drugim pokoju coś zachrobotało.

— Jest! — krzyknął jeden z policjantów.

— Co?

— Broń, melduję posłusznie, panie aspirancie — położył na stole zardzewiałą fuzję.

— O, nawet broń mieli. To poważniejsza sprawa, niż sądziłem. Gdzie była?

— Na drzwiach wisiła, schowana między łachy.

— No, no. To mi wygląda na zbrojny spisek. Skąd ją macie?

— Jeszcze po ojcu nieboszczyku, jak ze starym dziedzicem na polowanie chodził. Żadna z tego broń, ledwo się kupy trzyma. Stara fuzja.

— Fuzja, nie fuzja, strzelać z tego można. Aleście się doigrali. Najpierw ludzi bijecie, dlatego, że do pracy chcą iść, czego w Polsce nie wolno, co by to za wolność była, a teraz okazuje się, że i broń ukrywaliście. Nie trzeba to było siedzieć cicho, jak każdy porządny obywatel?

To wszystko było wypowiedziane spokojnie, prawie dobroliwym, pouczającym tonem.

— Jaka broń? Nikomu nic złego nie zrobiłem. Czego wy ode mnie, ludzie, chcecie?

— Dowiedcie się na sądzie. Z polecenia komendanta Pasierskiego muszę was teraz przytrzymać i odesłać do aresztu, aż do rozprawy.

— Boże drogi! — Czekalowa podniosła fartuch do ust i wstrząsnęła się bezgłośnie płaczem.

— Panie przodowniku, niech pan go odprowadzi do samochodu.

— Za co, ludzie, za co? Co ja komu zrobiłem, kogo skrzywdziłem? Zabiłem kogo, ukradłem co? To mnie zawsze krzywdzili, ciągle krzywdzą, za to chyba, że człowiek w biedzie się urodził i w biedzie żył. A teraz mnie chcecie aresztować, za co, za co? Taka jest wasza sprawiedliwość.

— Niech pan, panie przodowniku — powiedział twardo aspirant i wskazał ręką w stronę drzwi.

Przodownik ujął starego Czekalę za ramię. Franek, który cały czas siedział jak oteplały, ocknął się i rzucił za ojcem, ale aspirant wyprowadził go i zagroził drogę.

— Gdzie? Po co? Teraz z wami musimy załatwić. Panie Przycus, daj pan ten protokół.

Przycus rozłożył przed nim arkusz papieru.

— Otóż — aspirant zwrócił się do Franka — według doniesienia obecnego tu rzadcy tego majątku, pana Malasińskiego, doszło dzisiaj na polu do nieprzyjemnego zajścia pomiędzy wami a waszym ojcem. Tak?

Franek milczał.

— Z informacji pana Malasińskiego wynika, że wasz ojciec, chcąc wam przeszkodzić w wykonywaniu waszych obowiązków w stosunku do pana hrabiego Wojnarowskiego, u którego jesteście zatrudnieni, uderzył was w twarz, czyli fizycznie uniemożliwił wam... zresztą, po co ja to mówię, niech pan przeczyta protokół, panie Przycus.

Przycus odczytał.

— Podpiszcie — aspirant podsunął mu pióro.

Franek milczał.

— Podpisujecie tylko, że tak było, jak napisane.

— Niczego nie podpisuję.

— Co znaczy, nie podpisujecie? Było tak, czy nie było?

— Nie było.

— Panie Malasiński?

— Bujanie, sam widziałem.

— Nic pan nie widział.

— Kłamię.

— Za daleko pan stał, żeby co widzieć.

— No, więc jak, podpisujecie?

— Nie.

— Nieważne. Pan rządca był świadkiem i to wystarczy. Głupio postępowacie, a ojcu i tak już nic nie pomoże. Teraz mu tylko adwokata trzeba. Chodźmy.

Franek usiadł ciężko za stołem i objął twarz obiema rękami. Siedział tak kilka minut, potem się zerwał i wybiegł na dwór. Minął bramę i wypadł na drogę. Zachodzące nad gorzelnia słońce rzuciło czerwony poblask na stojący przy ostatnim z czworaków samochód ciężarowy, nabitý aresztowanymi. Ojciec, opierając ręce na tylnej klapie, siedział z brzęgu i patrzył ponad głowami ciszących się dokoła ludzi. Zawarczał motor, z rury wydechowej parskał niebieskawy dym i ludzie odskoczyli na bok. Samochód ruszył i wzbijając tuman kurzu zakoiysał się po wybojach.

— Ojciec — zawołał Franek. — Czekaćcie.

I zaczął biec środkiem drogi.